TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, Wydawca i właściciel, 532 Noble Street, CHICAGO, ILLINOIS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

W Stanach Zjednoczonych i Canadzie..........$1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii..........$1.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 31. Chicago, Ill., Czwartek, 4-go Sierpnia, 1898. Rok XII.

Bohaterka z nad Szreniawy.

POWIEŚĆ

Z DZIEJÓW NASZYCH

— PRZEZ —

PAULINĘ KRAKÓW.

(Ciąg dalszy.)

Niewiasta która rodzinę Pietrasza wprowadziła, miała tu widoczną przewagę, bo wszedłszy do izby kazała opróżnić miejsca przy kominku, ale gdy Hanna stanowczo tego przyjąć nie chciała, obtarła starannie stojącą u stołu ławę i pozrzucawszy zalegające go szare zwitki, usunęła się na bok ze sługą Pietraszów, pogadała z nią chwilkę, a gdy tamta zaraz wysunęła się za drzwi, rzekła do młodej dziewczyny:

— Halka! biegaj po mleko do dzieciny. A obmyj wprzódy palce.

Postawiła zdjętych z policy kilka misek glinianych, szepnęła coś pilnującej ogniska, a właśnie drzwi się otwarły i sługa nowo przybyłych weszła, niosąc przed sobą podróżne zapasy i przez ramię przewieszone okrycia i kilimki. Urządzono z nich zaraz wygodne na ławie dla Małgosi siedlisko, ustawiono króbki i garnuszki, a gospodyni rzekła:

— Wiem ci widzę, że tu wszystkiego obfitość i że choć to post, w podróży wolno się i pożywniej zasilić; ale tu wszystko zimne, a oto stoi gotowa owsiana kasza i pyza skwierczy na oleju, bo nam niezadługo czas na wieczerzę. Gdyby była wasza wola?...

— Czemu nie? — rzekł wchodzący Pietrasz. — Nie pierwszy to raz Bogna nas w

tym domu ugości. Dajcie owsiankę, to dobra rzecz.

— Jeżeli dla was na wieczerzę nie zbraknie — dorzuciła Hanna.

Czy było dość, czy dorobiono czego brakło, nie badajmy tej tajemnicy kominowej, dość, że wszyscy uczęstowani zostali i sługi i panowie. Jaśko wróciwszy od koni nie pogardził przyjęciem, Matys zwołany do misy zajadał łyżką drewnianą z za pasa wyjętą, aż mu się trzęsły wąsy sumiaste, kobiety od krosien wraz z małemi swemi pomocnicami także u jednej miski zasiadły i staruszki od wrzecion dostały się czem pożywić, tylko Bogna, pilnując ładu i piastunka Małgosi, Rzepka, nie odstępując dzieci ani na chwilę, nie myślały o posiłku, odkładając to sobie na później; ale przy każdem zbliżeniu zamieniały z sobą półgłosem życzliwe wyrazy.

Skoro Halka wniosła miseczkę spienionego mleka, napojono niem dziecinę, a gdy wnet, pochyliwszy się na przysposobione posłanie, utrudzona drogą usnęła, Pietrasz z Brzezia, rzekł:

— Teraz, Rzepko, dzban tu podaj z woza.

Matys dojadał owsiankę, ale otarł usta, mruknął, jakby urażony, że mu zwykle jego zajęcie odbierają i wyprzedził wychodzącą już Rzepkę.

Wkrótce pan z Brzezia, nalewając miodem kubek, dobyty z zawieszonej u pasa torby, podawał go kolejno, to żonie, która w nim tylko umoczyła usta, to Bognie i Rzepce, to zebranym w izbie robotnicom, z których każda spojrzawszy ku dozorczyni wychylała czarkę słodkiego napoju, a każda z odmienną miną wstydliwej niechęci. Gdy przyszła kolej na Halkę, zasłoniła ręką oczy, przyjmując kubek drugą i zaczerwienione jej dłonie zwróciły gości uwagę.

— Co jej to w ręce? — spytała dobrotliwie Hanna.

— Nic złego! — odrzekła Bogna — to marzanna, wiecie... Rzepko! — dokończyła, zwracając się do znajomej.

— Zkądże się to tu wzięło? — spytała zdziwiona.

— Znalazłam kępkę pod gajem, rozsadziłam i ot rozrosło się szczęśliwie, a teraz na wiosnę trzeba było wykopać. Halka mi korzonki za świeża poskrobie i dopiero będzie uciecha!

— O jakiem to Bogno pogaństwie mówicie? — spytała Hanna.

— U nas tak nazywają to ziele — odpowiedziała, przynosząc króbkę z korzonkami, które skrobała dziewczyna. — Nasze kobiety tego nie lubią, bo to czerwone a jeszcze, jeśli krowa zje przypadkiem, to i mleko da czerwone. Boją się tego i nazywają marzanną myśląc, że szkodliwe. Ale my wiemy do czego ono się przyda — dodała zwracając się do Rzepki.

— Tylko — odrzekła zapytana — tam się ono nie marzanną zwało.

— A nie, tam ją nazywają rubia, czasem lizarą, musi być z grecka, jak wszystko, co ten naród tam przynosi.

— O czemże to mówicie, kobiety? — wsunął Pietrasz swoje słowo — przecie nie daj Boże o jakich czarach?

— A, gdzież tam! — odrzekła Bogna — wspominamy sobie Ruś, gdzie nas młodemi jeszcze uprowadzono po wojnie; mnie wprzód, Rzepkę później. Wróciłyśmy razem do kraju za królową Maryą Dobrogniewą, gdy szła za naszego króla, a było nas ośm setek, które książe Izasław puścił wolno, byśmy córce jego błogosławieństwo uprosiły.

Na twarzach państwa z Brzezia osiadła poważna i smętna zaduma; fakt ten powrotu jeńców wiadomy im był, jak całej ziemi mieszkańcom; może myśleli sobie ze smutkiem, że nie każdy zabrany przez nieprzyjaciół i w dalekie zaprowadzony kraje doczeka powrotu w rodzinne strony. Nakoniec rzekła Hanna:

— Cóżeście tam przez długie lata robiły.

— Spytajcie, czegośmy tam nie robiły? — odrzekła Bogna — Co kazano: dzieci niańczyć, paniom śpiewać, na ucztach korowody prowadzić, prząść, tkać zasłony przejrzyste, a która nie gładka była licem, albo w tęsknicy łzy po jagodach puściła, to ją posyłano do bydła, kopać, a nieraz i orać kazano.

Podczas tego opowiadania, Rzepka, sprzątająca ze stołu, kiwała potwierdzająco

głową, a służebne, słuchające zdaleka, dawały sobie wzajemne znaki współczucia i porozumienia.

— Biedne wy, biedne! — rzekła Hanna z okiem łzą zwilżonem.

— Różnie to bywało! — odparła Rzepka, zapewne smutnemi wspomnieniami wiedziona.

— Ale też — dodała Bogna — widziało się rzeczy i ludzi wiele, i gdyby tak można niejedno co tam było u nas zaprowadzić, to bogaciej byłoby po dworach i ubogiemu ludowi snadniejszą praca. U nas każdego ptaszka trzeba ułowić; a tam je hodują; za parę garści zboża znoszą im jaja i śpiewają koło domów. U nas oto wszelka nić szara i ledwie przez całe lato słońce ją dobieli, a tam wszystko wesołe, wzorzyste modre, żółte, czerwone; tylko znać zioła, jak je zbierać, kiedy warzyć, to i barwić można jakby na Wschodzie.

I nauczyłyście się tego?

— A jakże! ale znaleźć u nas trudno. Oto rubia to i tu rośnie, może są i inne zioła, bo czemużby nasza ziemia miała być gorszą od innych; tylko szukać trzeba, a znalazłszy uprawiać.

— I cóż z tego zrobicie? — zapytała jeszcze Hanna.

— Powiem wam — rzekła z cicha Bogna. — Pani Katarzyna lubi barwiste rzeczy, ale nie chce, by je pan zdaleka sprowadzał, bo to drogo kosztuje. Mamy sporo jagnięcej wełny, sama pani zimą ją sprzędła, ma być kaftan dla pani, a że nie ma w domu nikogo, nagotuję marzanny i ubarwię wełnę na czerwono, potem się utka ściśle, czarną wełną ubramuje i nie będzie potrzeba czekać, aż Grek przyjdzie z tobołem i za byle szmatę grubych groszy nabierze.

Podczas tej pogadanki coraz się więcej miało ku wieczorowi; obudziła się małgosia, Rzepka doniosła, że wszystko ustawiono na wozie, Matys powiedział, że konie popasły i już założone i goście czeladniej izby w Brożycy pożegnawszy obecnych zwykłem:

— Bóg zapłać! zostańcie z Bogiem!

I otrzymawszy w odpowiedzi:

— Niech Bóg prowadzi! — wyszli za próg i po niedługiej chwili, gdy się usadowili, pozostali usłyszeli raźny tentent koni, posuwający się w kierunku głównego gościńca. Popędzali też żwawo nasi podróżni dobrze wypoczęte koniki.

— A no! — mówił Pietrasz — może jeszcze przed nocą staniemy w Krakowie.

— Daj Boże — odpowiadała Hanna, tuląc dziecinę swoję między siebie i Rzepkę, której obok usiąść kazała.

Mrok zapadał; wysoko z poza chmur wysuwała się srebrna twarz księżyca, jakby chciała natrętne przezwyciężyć opony, ale jakoś to szło nie łatwo, bo i chmury nie lekko napływały na niebo, lecz owszem ciężko się na nie wtaczały, jakby każda spieszyła dostawić naznaczone sobie brzemię wilgoci, zdobytej w blasku słońca po łąkach i polach. Jakoż niezadługo, jakby przez gęste rzeszoto zaczął kropić drobny deszczyk; Hanna okryła siebie i dziecię miękką i ciepłą oponą, mężczyźni ponaciągali na ramiona opończe i zaczęli coraz pilniej popędzać konie, bo coraz się ciemniej dokoła robiło.

— Byle jeszcze zdążyć do przewozu! — mówił Pietrasz do Jaśka.

— Zdążymy! — odrzekł chłopak.

— Daj Boże! — szeptała Hanna, dosłyszawszy rozmowę.

Jechano dalej ochotnie, otulając się w milczeniu, bo deszcz rzęsisty kropił coraz silniej i natarczywie przedzierał się przez wszystkie osłony, któremi się przed nim zabezpieczano. W powietrzu czuć było wilgoć, konie chrapały, Małgosia przytuliła się do matki i przez czas jakiś głębokie panowało milczenie, gdy Matys naraz zawołał:

— Już rzeka nie daleko, tylko co i promu nie widać.

— Ale nie widać, — rzekł Pietrasz, unosząc się na strzemionach — już i klasztor wynurza się z zarośli, ale u przewozu nie ma nikogo.

— Może dalej podjechać wypadnie — mruknął niechętnie Matys.

— Poskoczę ja naprzód i dowiem się — rzekł Jaśko, poglądając na ojca.

— Skocz i obejrzyj się dokoła — odpowiedział ojciec. — Namby tam rzecz niewielka podjechać dalej, ale kiedy się z dziećmi i kobietami jedzie, to co innego.

— Czy to Tyniec przed nami? — spy-

tała Hanna. Zawżdyśmy się tu przewoz

— A dziś nie ma ludzi u przewozu, nie wiem dla czego?

— Doczekamy się Jaśka niezadługo, a i czas, bo deszcz coraz lepiej trzepie i wiatr mu silniejszy pomaga.

— Ale cóż ja to słyszę — mówił ojciec — czyby on do forty dzwonił?

— Bóg to wie? może przecież wnet powróci! A cóżbyśmy poczęli gdyby nas dziś przewieźć nie było komu?

— Oj, niecierpliwe niewiasty! Jakoś się przecie pocznie i niezadługo, bo oto Jaśko skacze przez pola.

Rzeczywiście młodzieniec na sapiącym koniu zatrzymał się wkrótce przed rodzicami:

— Starszy przewoźnik zachorował z wieczora, a że burzę na noc przewidywał, zakazał młodszemu puszczać się przez Wisłę i od promu zaciągnąwszy na noc łańcuchy, odniósł od nich klucz furtyanowi.

— A teraz? — spojrzeli po sobie państwo z Brzezia.

— Trzeba będzie prosić księdza Opata — rzekł Pietrasz — by nas do furty przyjęli; już nie pada, ale leje, pod gołem niebem tak zostać niepodobno.

— Zadzwoniłem do furty — rzekł nieśmiało Jaśko — pytając czy można dziś będzie zgłosić się do Przewielebnego.

— I cóż? i cóż? — zapytali jednocześnie oboje rodzice.

— Już po komplecie; Opat, ani żaden Wielebny nie wyjdzie z celi, ale furtyan powiedział, że drzwi od hospitium zawsze stoją otworem i teraz nawet już tam jest ktoś z gości.

— To już trudno inaczej — mówił Pietrasz — pójdźmy i my, bo deszcz coraz silniejszy; ciemno i zimno, nie wiadomo, gdziebyśmy dziś zajechali.

— Czyż tam i niewiasty przyjmują w klasztorze? — spytała Hanna.

— Jest tam pomieszczenie osobne dla białych głów, chyba żeby to właśnie miało być zajęte.

— O! byle dla dziecka kącik! to już ja z Rzepką w jakikolwiek kąt się wsuniemy.

Matys tymczasem popędzał konie, bo i jemu się uśmiechała myśl przenocowania pod bezpiecznym dachem benedyktyńskiego opactwa, a może i pogawędzenia z pachołkami lub braciszkami, co sobie wówczas lud nasz wysoko cenił. Już coraz wyraźniejszemi stawały się wieże tynieckiego klasztoru, kształtne i białe, przed niewielu bowiem laty zostały odbudowane po spaleniu przez Kazimierza Odnowiciela, a klasztor rozszerzono do tyla, że nie powstydził się być siedliskiem tynieckiego Opata, któremu nadawano tytuł: "pana stu wsi," jak było rzeczywiście, skutkiem bogatego uposażenia, hojną ręką kilku już królów sypanego.

Za zbliżaniem się podróżnych, coraz szerzej rozwijały się przed ich oczyma rozległe mury klasztorne, wysokie sklepienia kościoła, wieże z milczącemi w tej chwili dzwonami, pomiędzy niemi obszerne i liczne komnaty dla chorych i gości, dalej gospodarskie budowy. Wszystko, jak się godziło, niezbyt nizkim otoczone murem, by zarówno kapłanom, chorym, uczącej się tu młodzieży, chętnie też zatrzymującym się podróżnym nie brakło ciszy i wypoczynku.

Podjechawszy do muru, Jaśko skoczył z mierzynka i pomógł zsiąść ojcu, a gdy tenże zadzwonił, natychmiast prawie uchyliły się drzwi i w sieni, płonącem oświeconej łuczywem, ukazał się w czarnej powłóczystej szacie, miłych rysów i bladego oblicza braciszek benedyktyński, który na powitanie:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — odpowiedziawszy:

— Na wieki wieków, Amen, — już prowadził podróżnych w kurytarz.

— Słota nas przygnała — rzekł Pietrasz a mamy i dziecinę i białogłowy, których już dalej wieźć nie było można.

— Tędy wszystkim gościom klasztornym droga — mówił furtyan, otwierając drzwi do obszernego refektarza, gdzie na kominie, nie zbyt świetnie, ale też i nie skąpo, palił się ogień z sosnowych gałęzi, a przy nim ciemna się jakaś pochyliła postać.

(Ciąg dalszy nastąpi).

JASKINIA BEATUSA.

POWIEŚĆ

— DLA —

WSZYSTKICH SZLACHETNIE MYŚLĄCYCH.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ TRZYNASTY.

Choroba niebezpieczna.

Zaledwie upłynęło kilka tygodni po rozstaniu się z Otonem, aż tu Teodora nagle zasłabła. Nie mogła wcale spać, jadła mało; nogi ją ledwie nosiły, często nawet padała z niemocy na ziemię. Giertruda i Lejthold patrzeli na to z obawą. Razu pewnego rzekła Giertruda: "Zapewnoś Pani nie w najlepszem zdrowiu, bo coś inaczej wyglądasz, jak dawniej." — Bądźcie spokojną," odpowiedziała Teodora. "Dokucza mi troska o syna mojego. Źle mu się powodzi. Przytem nie jestem przyzwyczajoną żyć bez tego, który z woli Boga jedyny mi pozostał. Lecz po kilku dniach znowu stanę się weselszą." — Dałby to Bóg!" rzekł Lejthold, wznosząc oczy łzą zaszłe ku niebu. Będąc zaś z Giertrudą trząsał głową z powątpiewaniem i rzekł: "Obawiam się, bardzo się obawiam, aby syn matki nie utracił, nim znowu nazad powróci. Jest ona chora, bardzo chora, nie chce sobie tego przyznać. Gdyby to już wiosna była, mógłbym się jeszcze spodziewać, że się nie za długo wzmoże. Ale ta pora dla chorych, osobliwie w naszym kraju, gdzie śnieg chaty zasypuje, bardzo niepomyślna."

Nie na próżno obawiał się Lejthold. Gdy bowiem nazajutrz z rana w izbie Teodory stanął, aby jej podług swego zwyczaju "dzień dobry" powiedzieć, nie zastał jej przy stoliku gdzie dotąd zawsze, zaraz rano, przy robocie siedziała. Poszedł więc do kuchni, poszedł i do ogródka. Lecz i tu jej nie ma. Stanął więc przy drzwiach alkierzyka i zawołał: "Czyż Pani jeszcze w łóżku?" — Na co mu Teodora słabym głosem odpowiedziała: Proszę bardzo, przystąpcie tylko bliżej dobry Lejtholdzie!" Co uczyniwszy, przeląkł się niezmiernie. Teodora bowiem była blada jak chustka. Będąc po części ubrana, wspierała się w na pół leżącej postawie na poduszcze. "Ach!" rzekła, "teraz muszę sobie wreszcie przyznać, żem chora. Tego rana bowiem uczułam, że się nawet ubrać nie byłam w stanie. A o wyjściu z izdebki ani myśleć. Sny okropne dręczyły mię nocą i nie dały mi spać spokojnie w czem jeszcze jedyną ulgę miewałam. Ach, gdyby już było po zimie! Lecz ona się dopiero zbliża. Dobry Lejtholdzie! mnie się zdaje, jakbym już nigdy nie miała widzieć kwiatów w moim ogródku kwitnących na wiosnę."

"Miej tylko Pani w Bogu nadzieję," odparł Lejthold, a znowu wyzdrowiejesz. Byłem ja już dwa razy niebezpiecznie chory i każdy myślał, że już ostatnia moja godzina nadeszła. Giertruda, żona moja kochana, szlochała na głos przy mojem łóżku, a Rózia skryła swą twarz w poduszkę i płakała niezmiernie. A przecię mię Bóg litościwy wyprowadził z niebezpieczeństwa." — "Niech się i co do mnie wola jego stanie!" rzekła Teodora i położyła się znowu, czując się coraz bardziej słabszą. "Pójdę po Giertrudę, rzekł Lejthold, "aby Pani łóżko posłała; wtedy będzie Pani wygodniej leżeć. Musi też polewki jakiej zgotować, gdyżeś Pani jeszcze na czczo. Może się potem cokolwiek z Panią polepszy." To rzekłszy, wyszedł z izdebki. Po chwili przybiegła Giertruda. Patrząc na jej wybladłość, od łez się wstrzymać nie mogła. Dała jej dobrej polewki, potem posłała łóżko. Niezadługo poczuła się Teodora przy większej sile.

Za godzinę przyszedł Lejthold znowu

do izdebki, chcąc się dowiedzieć, czy się z nią cokolwiek polepszyło i czy czego nie potrzebuje. Teodora podniosła się ile możności i rzekła: "Życzyłabym sobie widzieć jeszcze raz Ojca Beatusa, nim umrę. Pobożna jego mowa zawsze mię pocieszała, umacniając nadzieję mą w Bogu, uprzyjemni mi ona i smutne chwile choroby jako też i śmierci. Prócz tego cięży mi coś na sercu. Muszę mu to wyjawić! Bądźcie więc tak dobrzy, poczciwy Lejtholdzie, poślijcie kogo do jaskini Beatusa. Każcie go odemnie pozdrowić i prosić, aby się do mnie potrudził, gdyżem ciężką chorobą złożona. Każcie mu powiedzieć, że bardzo pragnę jego pociechy aby mój zgon był łagodny i spokojny, jak zgon kwiatka.

"Natychmiast niech się stanie podług życzenia Pani," odrzekł Lejthold. "Ja sam pójdę do jaskini Beatusa. A chociaż moje nogi nie są już tak chwackie jak u młodego, jednakowoż droga przykrą mi nie będzie." Wyszedł więc i pobiegł do domu, oblókł kurtkę, wziął kij i pospieszył ile możności na skałę. Bogomyślnego starca zastał w altance ogródkowej. Gdy stanąwszy w altance, pot sobie z czoła ocierał, wstał Beatus i zawołał: "Czyście to wy Lejtholdzie? Jakżeście się zdyszeli! Taki starzec jak wy. powinienby sobie dać czas przy włażeniu na skałę." "Takby się też stało, gdyby tu do Was wesoło w odwiedziny przyszedł; lecz mnie tu przysyła obca Pani, abym Was do niej poprosił: jest ona chora." — "Chora?" zapytał prędko bogobojny starzec z nagłem zasmuceniem. "Jestże niebezpiecznie chora?" — "Dałbyż Bóg, żeby inaczej było," rzekł Lejthold ze łzami w oczach. "Ach! jakby się rozrzewniał Oton wiedząc teraz o stanie matki! Lecz opuszczając dolinę naszą, nie mógł się tego spodziewać. Była wówczas jeszcze matka jego czerstwą i zdrową. On nawet zdrowszym nie był. Ach! może on ją przy pożegnaniu już po raz ostatni widział!"

Teraz dał bogobojny starzec wieśniakowi jaki taki posiłek. Po krótkim wypoczynku rzekł Lejthold: "Spuśćmy się już ze skały. Nim staniemy na miejscu, będzie się dobrej Pani wiecznością zdawało."

W godzinę po południu wstąpili w progi chatki. Słysząc ich nadchodzących Teodora, wyciągnęła prawicę z pod pierzyny i podała ją drżącą przybyłemu Beatusowi. "Nie prawdaż, czcigodny Ojcze," rzekła przymuszając się do uśmiechu, "od ostatniego widzenia się — wybladłam nie licho." "Przy pomocy Boskiej," rzekł Beatus, "będziesz Pani wkrótce znowu czerstwo i zdrowo wyglądać. A co gdyby nie nastąpiło, pomyśl tylko Pani jeszcze i w ostatniej chwili życia, że co Bóg przeznaczy, z naszem dobrem się dzieje. Wie on najlepiej co czyni. Niech będzie błogosławione Imię Pańskie."

Usiadłszy przy łóżku, pocieszał jej serce słowem bogobojnem i świętem. W kilka godzin, będąc tylko sama z pobożnym starcem, uchwyciła jego rękę i rzekła: "Czcigodny Mężu! Od czasu przybycia mego w tę dolinę, było tu moje imię, aż dotąd niewiadomem. Obawa przed prześladowaniem przez moich nieprzyjaciół do tego mnie zmuszała, żem go nikomu nie odkryła. Teraz zaś znajdując się w chorobie niebezpiecznej, i może już blisko grobu, muszę się zwierzyć mężowi, który mię od chwili naszego poznania się — jak własną córkę kocha. A tym mężem jesteś ty, czcigodny Ojcze. Wiedz więc, że się nazywam Teodora i że jestem z szlachetnego rodu Sztaufów i żoną hrabiego Henryka Waldbergen. Oton jest naszym jedynakiem. Pierwsze lata małżeńskiego pożycia były mi najszczęśliwsze w całem mojem życiu. Potem zaś podobało się Panu Bogu, nawiedzać mię przez długi szereg lat ciężkiemi dolegliwościami i smutkiem."

Poczem opowiedziała mu wszystko, co się jej tylko przytrafiło od owej nieszczęsnej nocy, aż do chwili zapoznania się z bogobojnem starcem. Często musiała na kilka chwil przestać. Nerwy jej bowiem już od dawna osłabione a osobliwie teraz chorobą, nie pozwoliły jej jednym ciągiem opowiadać. Przy końcu dodała jeszcze: "Teraz proszę cię, czcigodny Ojcze, opiekuj się synem moim. Wiesz jakiego jest stanu i pochodzenia. Może w przyszłości — jeszcze szczęśliwym będzie." Ta prośba wzruszyła Beatusa głęboko; potem rzekł: "Nie potrzebujesz się Pani bynajmniej o syna swego troszczyć. Chętnie będę ojcem dla niego. Przy Boskiej pomocy uda mi się, iż go prędzej czy póź-

niej do dawnego stanu przyprowadzę." — A więc mi już nie cięży na sercu wielki ten kamień!" rzekła Teodora, lżej oddychając. "Teraz już mogę skonać spokojniej: Bogu też za to najwyższemu dzięki!"

Jeszcze godzinę bawił przy niej Beatus. Potem zaś pożegnał ją, widząc, iż jej spokoju potrzeba. Odchodząc, przyrzekł jej, że ją nazajutrz jak najrychlej odwiedzi. — Później czując się znowu nieco silniejszą, podniosła się i siedząc w pościeli, napisała list następujący do syna, będącego w świecie.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY.

Ostatni testament matki.

Kochany Otonie! Mój jedyny, najdroższy synie! Już po raz ostatni wolno mi cię tu na tej ziemi tak nazywać. Drżącą i słabą ręką piszę ten list dla ciebie. Siły już wyczerpane. Serce moje puka słabo a prędko. Lica moje są blade i zapadłe, a oczy mi zachodzą pomroką. Dreszcz zimny przechodzi mi po członkach. Czuję aż nadto dobrze bliskość mojej śmierci, przeczuwam że nie zadługo śmierć w izdebce mej zawita i mię do wiecznej przeniesie ojczyzny. Już to dziś ostatni poranek jesienny. Kilka kwiatów, które jeszcze wczoraj w naszym ogródku świeżymi były, są dziś zwiędłe. Biały przymrozek zwarzył je dzisiejszej nocy. Leżą one na ziemi. Listki ich są zniweczone. Tak i ja może do jutra zwiędnę, wtedy leżeć będzie ciało moje martwem, zimnem, bez wszelkiego życia.

O mój Otonie! Cóż jest życie człowieka? Jest to trochę czasu pełnego dolegliwości i cierpień. A wreszcie nie użyło się żadnej radości, nie będąc w sumieniu swem przekonany, że się bogobojnie i poczciwie żyło. Tak się to i ze mną rzecz ma. Wszak ci wiadomo, ilem wycierpiała. Wiesz, jakem owej okropnej nocy z tobą umknęła, jakem się stała w nędzy zewsząd opuszczona, żem ci płaczącemu nie raz ani okruszyny chleba dać nie mogła. Ach a te łzy, któremi dla twego ojca wylała! te wzdychania, które mi wśród nocy bezsennych serca ledwie nie rozsadziły! ten smutek i kłopot o pożywność nim cię wychowałam; ach to wszystko mój kochany Otonie, jest ci dobrze wiadome. Już dziecięciem miałeś serce tak czułem, że wszystkie cierpienia matki swojej wiernie podzielałeś. Ale wiedząc, iżem sobie przed Bogiem i ludźmi cnotliwie postępowała, znajdowałam wśród mych dolegliwości pewne uspokojenie. Nieraz wynika z tego wnętrznego przekonania niejedna cicha radość, za co Bogu tysiączne złożyłam dzięki. To mię i teraz leżącą na łożu śmiertelnem napełnia spokojną, wesołą rozkoszą i gorącem życzeniem, aby się już cierpienia moje zakończyły i abym już wnet stanęła u Ojca niebieskiego.

A żebyś i ty, kochany mój synu, na łożu śmiertelnem w równem był uspokojeniu, ztąd wylewając ostatnie łzy macierzyńskie, kreślę ci jeszcze kilka dobrych nauk, które cię na drodze cnotliwości mają wzmocnić. Wszystko, co ci tu napiszę, słyszałaś już często odemnie, gdy jeszcze małym byłeś. Lecz będzie ci przyjemnie, gdy ci to jeszcze raz powtórzę. Te moje słowa będą ci oraz pamiątką po zmarłej matce. Boć ja prócz tego, drogie dziecię, innej nie mogę zostawić spuścizny. Wszak znasz mój niedostatek.

Gdy na wiosnę wracając do domu z kwiatkami, jakie tylko są najwcześniejsze na błoniu ku naszej chacie spieszyć będziesz, aby swą matkę co rychlej uściskać pełen serdecznej radości, iż znowu z nią obstawać możesz, ach! wtedy nie zastaniesz już matki swojej. Miejsce, na którem zwykle siedziała, będzie próżne. A w ogródku, w altanie jej nie znajdziesz. O dziecię moje, biedny mój synu, jakże ci się wtedy zrobi w sercu! twój głos będzie się rozlegał po smugach i błoniach wołając: "Matko, droga matko, przybywajże, przybywaj, boć cię chcę uściskać! O nie dajże na się czekać tak długo!" Lecz niestety! matka ci nie odpowie. Potem pobiegniesz do domu Lejtholda, aby się o mnie pytać. Tam zaś ujrzysz blade i smutne twarze, i łzy ujrzysz w oczach. A Lejthold rzecze: "Biedny młodzieńcze! napróżno są twe szukania; nie ma tu już twej matki; pożegnała się ona z nami." Poczem ty się zapytasz: "O Boże gdzież się udała?"

A on ci odpowie: "Daleko, bardzo daleko. Tam gdzie już cierpieć przestanie, gdziebyśmy z nią wszyscy radzi byli. Jest bowiem w niebie." Potem doprowadzą cię dobrzy ci ludzie na grób mój. Widząc cię płaczącego i oni płakać zaczną, a Lejthold odda ci ten list wraz z pozdrowieniem matki i błogosławieństwem matki twojej.

Słysz ostatnie słowa umierającej twej matki. Mój synu? Najpiękniejsze i najświętsze dla człowieka jest miłość ku Bogu, swemu wszechmocnemu Stwórcy, co ci od początku zaraz w młodociane twe serce wpajałam; zachowaj to jako najdroższy klejnot, mogący cię bogatym i szczęśliwym uczynić. Niech się rozwinie ta miłość w sercu twojem jak wolny kwiatek z ogrodów szczęśliwości. Miłość ta ku Bogu strzeże człowieka i poświęca go. Ona mu nie da zbłądzić z drogi cnoty. Onać to jest, która go pokrzepia, gdy się w wypełnieniu dobrych swych postanowień chwiać zaczyna. Taćto miłość zwraca jego myśli do Boga, od którego życie i wszystko, co posiada, otrzymał. Niech więc, mój Otonie, ta miłość bezustannie w tej duszy pała świętym płomieniem, który wszystko niszczy, co nie pochodzi z źródła wszelkiej czystości i dobroci. Pamiętaj zawsze o Bogu i o Jego przedwiecznym synie, a naszym Zbawicielu. Przejęty tą świętą miłością, będziesz mógł żyć spokojnie tak wśród cierpień dokuczających. Prawda, doznasz nieraz zewnętrznej pokusy usiłującej odwieść cię od tej miłości ku Bogu; przyjdzie ci poznać wiele ludzi, którzy ani o Bogu, ani o świętej Jego woli nie wiedzą, albo raczej wiedzieć nie chcą, lecz owszem nawet się poważą bluźnić przeciw Niemu i z ciebie szydzić i urągać się nad tobą będą, iż się do Niego modlisz i Go w pokorze bogobojnego serca miłujesz; — ale, kochany mój Otonie, unikaj obcowania z takimi ludźmi, unikaj jak jadu żmijowego. Psuje ono młode serca i kładzie w nie podnietę do złego na przyszłość nieszczęśliwego życia. Ty się zaś trzymaj stale tego, com ci o Bogu i Boskich rzeczach napowiadała, a będziesz szczęśliwym.

Mając czystą, prawdziwą miłość ku Bogu w swem sercu, będziesz i wszystkich ludzi kochał jak własnych braci. Tego bowiem żąda Stwórca wszystkich ludzi, jak nam się przez przedwiecznego Syna swego objawił, podług którego świętej nauki żyć się nam należy. Kochaj tych, którzy ci źle czynią lub źle o tobie mówią, jako też i tych, którzy cię dobrodziejstwem obsypują. Wszyscyć są dziećmi przedwiecznego Ojca który jest w niebiesiech, do którego my się kiedyś wszyscy dostaniemy. A gdyby ci ciężko było miłować swych nieprzyjaciół, pomyśl tylko, że ci pomimo swej wiedzy dobrze czynią, przyuczając się obelgami swojemi do cierpliwości łagodnego ducha. Co w takim razie najlepszego uczynić możesz, jest to gorąca modlitwa, aby ich Bóg raczył oświecić i dał im serce pełne ludzkości.

Nie bądź nigdy niedbałym w modlitwie. Skoro się rano przebudzisz, wznieś zaraz swą duszę do Stwórcy. A na wieczór, nim się udasz na spoczynek, przypomnij sobie jako wdzięczne dziecko wszystkie dobrodziejstwa, które z rąk Ojca niebieskiego co godzina odbierałeś, i porucz się ze wszystkiem, co tylko jest twego, wszechmocnej Jego opiece. Nawet wśród dnia wzbijaj się z pobożnem uczuciem ku niebu i módl się do Boga i pracy. A wszystko, co tylko rozpoczniesz, pójdzie ci lżej i lepiej od ręki gdy najwyższego wzywać będziesz o oświecenie i o łaskę.

W obcowaniu z ludźmi bądź zawsze miły, skromny i uprzejmy. Ciche, przyjemne zachowanie się, jest wielką ozdobą młodzieńca, i uskarbia mu najwyższy szacunek u wszystkich szlachetnie myślących. Powściągnij swój język a nie unoś się nigdy gniewem lub zemstą. Ile złych skutków tak dla siebie jako też i dla innych z popędliwości i nierozważnego uczynku wynikło na to sam potrafisz dać przykład bardzo dobitny.

Nigdy się nie gniewaj, żeś ubogi. Pomyśl, iż Bóg musiał mieć najlepszy zamiar dla czego cię tak uniżył, żeś się stał z dziecka hrabi bogatego ubogim, bardzo biednym chłopcem. Możeby bogactwo i dostojeństwa ze szkodą były dla zbawienia twej duszy. Ztąd to ja teraz na łożu śmiertelnem najwyższej mądrości składam dzięki, że nas tak wielkiem ubóstwem nawiedziła. Już eś dorosły a ja mogę śmiało w obliczu Boga powiedzieć, iżem się ciągle zaraz z dzieciństwa

przyzwyczajała do pracy; możesz sobie więc, chociaż mnie już na świecie nie będzie, co ci potrzeba, zarobić. A mając to, na czemże ci jeszcze zbywać może? Kawałek grubego chleba i dzbanek świeżej wody, na co po ukończonej pracy pot z twej twarzy kroplami spadać będzie, lepiej ci uraczą, niż cukry i wina kosztowne zgnuśniałego bogacza. Wiadomo, możeśmy w naszej chatce żadnej nie mieli obfitości, a przecież nas nie jedna cicha radość ucieszyła. Gdybyś zaś miał kiedy podług nieodgadnionych wyroków Boskich przyjść do bogactwa, nie daj się niemi, proszę cię, zaślepić. Bądź w używaniu przyjemności umiarkowanym, jak gdybyś był ubogim. Cały twój majątek, wszystkie twe dostatki niech ci tylko dla tego będą miłemi, iż za ich pomocą swym bliźnim nieszczęśliwym ulgę przynieść możesz.

Jeszcze mam coś, kochany mój Otonie do życzenia. Radabym, abyś to przyjął do serca. Oto mieszkaj w tej dolinie, w tej chacie, tu wśród tak ludzkich włościan, którzy mnie i tobie tak wiele dobrego wyświadczyli, mieszkaj, mówię, aż w sobie powołanie uczujesz, iż cię Bóg do czegoś wyższego przeznaczył, a nie tylko do tego, abyś się po Alpach drapał i za ptakami uganiał. Bądź dla każdego miłym, grzecznym i uprzejmym. Uważaj ich za największych dobrodziejów, za którymi możemi się prawda modlić, ale im nie możemy nadgrodzić, co nam dobrego wyświadczyli. — Bogobojnego Ojca Beatusa odwiedzaj w jaskini jak najczęściej. Ja mu nasz stan i nazwisko odkryłam. On się tobą na przyszłość zajmie i będzie się po ojcowsku opiekował.

A gdybyś wreszcie znowu w świat poszedł i z ojcem się swoim zobaczył, o pozdrów go odemnie po tysiąc razy. Wiesz dobrze żem dotąd nadzieję miała, iż mi jeszcze w życiu wolno przycisnąć go do łona. Lecz teraz, gdy na śmiertelnem spoczywam łożu, odstąpiła mię ta nadzieja. Może dla ciebie zostawił Bóg tę radość. Jeźliby tak, spoglądałabym na was z nad obłoków i cieszyłabym się z tobą. Gdy cię ojciec zapyta, gdy na wpół z obawą i radością zawoła: Gdzież jest Teodora, moja małżonka?" wtedy zaprowadź go tu nad moją mogiłę. Powiedz mu, ileśmy łez wylali owej nocy, kiedyśmy go utracili. Powiedz mu, jakeśmy wreszcie po długiem tułaniu śliczną dolinę a w niej dobrodusznych ludzi znaleźli, którzy nas mile przyjęli i nędzę naszą złagodzili. Powiedz mu także o naszych rozmowach wieczornych wśród zimy, ileśmy to i jak często gadali o kochanym ojcu, o drogim małżonku; jakeśmy to sobie z upragnieniem życzyli jego obecności. Powiedz mu o tem i jeszcze o innych rzeczach, które ci tylko dziecinne twe i tkliwe serce na myśl poda.

Wszystko to zachowaj w pamięci, gdyż od matki bliskiej zgonu swego pochodzi. Ręka moja drzała mi zaraz, skoro pisać zaczęła, tak że ledwie te wyrazy przeczytasz. Teraz zupełnie mi osłabła. Ach! o ileżbym była spokojniejsza gdyby mi wolno było ustnie ci dać ostatnie te przestrogi; lecz inaczej chciała wola Ojca niebieskiego, którą zawsze przyjmuję w pokorze. Tak się i ty spuść na wolę Jego przenajświętszą i nie smuć się zbytnie, dowiedziawszy się o mojej śmierci. Nauki te po swojej matce — czytaj jak najczęściej, osobliwie, kiedy cię jaka pokusa chce uwieść do złego. Pomyśl sobie: "Onać mi zawsze tak dobrze życzyła. Jakże niewdzięcznie byłoby odemnie, gdybym sobie nie postępował podług jej nauk. Będę więc ciągle do tego dążył, aby cnoty moje ozdobą jej grobu się stały." Tak myśl, a Bóg najwyższy, przenikający najgłębsze skrytości serca twego, da ci siły do wykonania postanowienia twego, tak, że cię niegdyś w przyszłem życiu, w królestwie wiecznej szczęśliwości, w ojczyznie niebieskiej zobaczę.

Teraz jeszcze jednę prośbę. Gdy, kochany Otonie, w dolinę tę powrócisz, idź do naszego ogródka i wykop kierz róży, przy altance rosnący, a potem zasadź go na mojej mogile. Jest to ten sam, z którego ci przy pożegnaniu różę dałam. —

Ach, od czasu twego odejścia, stałam ja przed nim ze sto razy i myślałam o tobie. Cudne te kwiaty od dawna mi ze wszystkich innych były najmilsze. Miękki i lekki ich zapach nieraz mię rozweselił. Tak najdobrotliwszy Stwórca i kwiaty na to przeznaczył, aby nie jeden umysł smutny i skłopotany nieco pocieszyły.

Teraz zaś, drogi, najdroższy Otulku!

niech już skończę to pisanie. Przyjmij ostatnie błogosławieństwo od swej matki. Widzę cię w duchu, jak łkając przy mojem łożu klęczysz, widzę cię ze złożonemi rękoma klęczącego. Ja zaś wyciągam swe ramiona nad tobą i modlę się: "Niech cię zachowa Bóg wszechmogący od wszelakiej skazy, abyś wszedł do życia wiecznego. Niech zleje na ciebie swą łaskę, abyś sobie ciągle postępował cnotliwie i uczciwie a niegdyś na łożu śmiertelnem mógł mówić: "Przyjdź miła mi śmierci zaprowadź mię do Boga mego i do moich rodziców." — Bądź więc zdrów, bądź zdrów! kochany mój synu, mój Otulku! Ucałuj ten papier, bo łzy macierzyńskiej miłości go zlały. Maluczko, a matka twa już płakać nie będzie mogła. Bądź zdrów a zwracaj często swe myśli na swoją umierającą matkę."

Tak daleko napisała Teodora. Dalej już nie była w stanie. Bez wszelkiej władzy przechyliła się w znak na pościel. A gdy znowu orzeźwiała, stał Lejthold wraz z Giertrudą przy łóżku. Rózia i Klaus przyszli także ją odwiedzić. Ujrzawszy blade jej lica i wychudłe jej ręce, zaczęli płakać. Teodora zaś rzekła z uśmiechem: "Nie płaczcie, kochani ludkowie! Pan niebieski chce tylko mym cierpieniom kres położyć; a ztąd powinniście się ze mną nawet cieszyć." Po chwili rzekła dalej: "O gdybym wam też wszystko to dobre wynagrodzić mogła, coście wy mnie i synowi memu od chwili naszego tu przybycia okazali! Będę się więc za wami modliła, skoro się dostanę do Boga. aby wam za to zapłacił obficie." A wszyscy obecni zaczęli jeszcze bardziej płakać. Potem dając list na ręce gospodarza, rzekła: "Gdy po mojej śmierci Oton powróci, pozdrówcie go odemnie serdecznie i oddajcie mu tę pamiątkę."

Odtąd wypogodziła się jej twarz, lecz usta jej mało mówiły. Gospodarstwo, Rózia i Klaus zostali przy niej aż do wieczora; potem zaś odeszli, aby sobie spokojnie odpoczywała. Gdy jej dobrej nocy życzyli, podawając im prawicę, rzekła Teodora: "Niech się wola Pańska dzieje!" i zasnęła wkrótce potem bardzo smacznie, co całe dwie godziny trwało.

Nazajutrz chciał bogobojny Ojciec Beatus chorą znowu odwiedzić, lecz ujrzał przez okno swej celi wszystkie drogi i ścieszki śniegiem zawalone, który to zeszłej nocy w wielkiej spadł obfitości. Tu i owdzie leżały ogromne zaspy. Nie można się też było spodziewać, aby śnieg tak łatwo stopniał, gdyż równocześnie mrozy trzaskające nastały. Ta okoliczność zasmúciła Ojca Beatusa. Takim bowiem sposobem miała biedna chora zupełnie opuszczoną, bez wszelkiej pobożnej pociechy, zejść z tego świata. Polecił więc życie jej i duszę miłosierdziu Boskiemu i postanowił sobie mocno, iż ją zaraz z pierwszem okazaniem się wiosny, skoro dni łagodniejsze nastaną, odwiedzi. A gdyby wtedy już żyć nie miała, chciał się przynajmniej modlić za jej duszę u grobu.

CZĘŚĆ DRUGA.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Nie kupicie Sokołów?

Tymczasem, gdy Teodora w swej chacie co dzień śmierci oczekiwała, wędrował Oton, takiego nieszczęścia bynajmniej nie przeczuwając, od zamku do zamku i zachwalał swe sokoły aby mu je odkupiono. Gdzie tylko przyszedł natężał uszu, czy nie usłyszy imienia swego ojca. Chodził nawet około więzień zamkowych, sądząc, że go może dojdzie jakie westchnienie, które mu pobyt ojca odkryje. Lecz niestety! dobry ten syn nie dowiedział się jeszcze o nim ani słowa. Rozpływał się więc, dalej sobie podróżując we łzach obfitych. "Gdy znowu do matki powrócę," pomyślał sobie, a nic jej o drogim ojcu nie będę mógł donieść, ach! pomnożę tylko przez to jej cierpienia i utracę ją może niezadługo."

Już zima minęła. Wtedy to postanowił Oton udać się na zamek Felzenhejm. Tu i owdzie pytał więc ludzi po drodze, którędyby tam miał wędrować. Jedni mu na to nic nie umieli odpowiedzieć, drudzy zaś powiadali, iż mu przyjdzie iść przez bór okropny, w którym życie utraci, i że staną-

wszy nawet w zamku, śmierci się nie uchroni gdyż go drapieżny rycerz zabije. A te słowa nie ustraszyły śmiałego młodzieńca; pozostał on przy swojem przedsięwzięciu i wędrował pełen odwagi dalej.

. Było to zaraz na początku wiosny, gdy strasznie pluszczeć zaczęło. Całe niebo pokryło się grubemi chmurami; ciemno się stało. Deszcz ulewny spadał na ziemię, jak gdyby ją chciał spłukać. To znowu nadeszła szaruga. Gwałtowny wicher miotał śniegiem i gradem po powietrzu. Drżąc od zimna stał Oton, aż do nitki przemokły, pod starym na wpół spróchniałym dębem, a było to wśród gęstwiny odwiecznego lasu. Dwa dni już błąkał się, nie mogąc wyjść z niego. A nikogo nie spotkał. Nie natrafił nawet na żaden ślad, z któregoby był mógł wnioskować na bliskość ludzi. Tylko wycie drapieżnych zwierząt odbijało się zewsząd o jego uszy, tak, że sądzić musiał, iż się lada chwila łupem ich żarłoczności stanie. Dla tego mu też zimny pot spływał po czole. Nie śmiał nawet wolno oddychać, a wystrzegał się wszelkich prędkich poruszeń. Ile możności stąpał tylko po kępkach mchu, z obawy niezrobienia szelestu. Często zatrzymywał się i słuchał długo na głos jaki myśliwczego rogu lub na szczekanie psów. Ale próżno, nic się takiego nie dało słyszeć. Nawet zbójca, spodziewający się przy nim więcej znaleźć jak samą klatkę ze sokołami, byłby dla niego pożądanem spotkaniem. Lecz tu ani myśli o bliskości człowieka. — Teraz mu i głód zaczął dokuczać, gdyż już od dwóch dni kąska chleba w ustach nie miał. Wsparłszy klatkę i mandolinę przy starem drzewie, padł na mokrą ziemię i modlił się do Boga o pomoc w potrzebie, a nabrawszy siły w modlitwie, puścił się znowu w drogę i darł się przez ciernie i głogi i ciemne gęstwiny. "Przecię się musi raz ten bór skończyć," rzekł do siebie, "trzeba mi tylko chwacko iść dalej, aby mię noc zupełnie nie napadła."

Lecz za nadejściem nocy, było to samo co i pierwej, a nawet gorzej. Wicher bowiem stał się gwałtowniejszym i deszcz lał rzęsistszy. Z razu nie zważał na to Oton tak wielce; lecz za nastawaniem coraz większej ciemnoty, gdy się w boru coraz okropniej rozono, a po dębach puhacze i sowy brzydkim swym głosem wołać zaczęły, wtedy jego serce niejaki strach ogarnął. Zwróciwszy myśli na kochaną matkę i na miłą piękną dolinę szwajcarską, zaczął rzewnie płakać. Znużony wreszcie rzucił się pod dąb pobliski. Już też nie wiedział co począć; jego sokoły znosiły głód i słotę, równie jak i on sam. Urzekały sobie bowiem od czasu do czasu bardzo żałośnie.

Postradał więc wszelką nadzieję wyjścia z boru. "Widzę," westchnął głęboko, iż tu wśród dzikich zwierzów skonać muszę. O! żegnając dolinę i chatę mojej matki, nigdym się tego nie spodziewał. Ale ty, droga matko, przeczuwałaś to. Ach! jakże będziesz wyrzekać, gdy twój Otulek nie powróci. Nie masz już i jedynej podpory. Śmierć moja zawczesna i ciebie do grobu wtrąci. Bądź zdrowa, droga, moja najdroższa matko! Dziękuję ci po tysiąc razy za wszystko dobre coś mi wyświadczyła. A chociaż nie słyszysz moich podzięków, to Bóg patrzy z niebios i widzi me łzy i serce me dziecinne. Ach, żal ci mi, żal, żeś nie jest obecną przy moim zgonie. Wśród gorących twych modlitw i słodkich pocałunków usnąłciłbym, jak niegdyś, będąc jeszcze dziecięciem, kiedym to mógł spokojnie spoczywać, gdyżeś ty przy mnie siedziała. Widząc mię umierającego, miałabyś wtem jakieś uspokojenie. Mogłabyś się bowiem nad zawczesnym moim grobem wypłakać. — Lecz zdaję się na wolą Boską. Ten, którego ja opiece duszę i ciało oddaję, jest wszędzie obecnym. Wie i o tem, iż tu pod tym dębem na kolanach leżę i tak bliskiej śmierci oczekuję. — O Ojcze, któryś jest w niebiesiech! oto tu mnie masz. Dziecię Twoje wznosi swe ręce do Ciebie, coś tylko mu przeznaczył. Czy mnie z tego niebezpieczeństwa wyrwać raczysz, czy mnie do siebie zawołasz, w każdym razie wielbię imię Twoje święte. Oton gotów; chętnie poświęcam młode moje życie. Lecz gdy żyć na przestanę na ziemi, to pocieszaj Ty, Boże dobrotliwy, moją biedną, moją kochaną matkę!" Taka była modlitwa Otona, rzewnie płaczącego i oczekującego pod dębem spokojnie śmierci, mającej go przenieść do owej lepszej krainy. — Wtem usłyszał, w odległości może pół mili, szczekanie psa. A że ciągle z jednego miejsca pochodziło, mo-

żna było sądzić, iż pies na łańcuchu był uwiązanym i że się tam jakie mieszkanie znajdować musiało. Ta okoliczność dodała duszy Otonowi odwagi a ciału jego siły. Zapomniał więc o głodzie i o słocie, a wziąwszy klatkę na plecy a mandolinę pod pachę, spieszył w ową stronę, zkąd go owe pożądane głosy doszły. Musiał jeszcze wiele wycierpieć, nim się po skale ogromnej i głogiem zarosłej na dół spuścił. Wtem się też nagle bór coraz bardziej wyjaśniać zaczął; a po upłynieniu pół godziny, ujrzał się przed wielkim zamkiem. Jego przytem radości nikt nie zdoła opisać. Pełen najświętszych uczuć, padł na kolana i podziękował Bogu strumieniem łez cichych. Potem wstawszy, podwajał swe kroki. Idąc po wzgórzu na zamek, ujrzał w nim w górnych oknach światło; i niżej przy zwodzonym moście pełzało w małem mieszkaniu światełko; do tego on się zbliżał. Będąc już blisko bramy przeląkł się nagle zaszczekaniem psa łańcusznego. Ten zaś pies uspokoił się zaraz na groźne zawołanie z wewnętrznej części mieszkania. Poczem stanąwszy Oton pod murem, śpiewał jak następuje:

Mam sokoły na sprzedanie,
A sokołkiem się nazywam.
Widząc panów cnych mieszkanie,
Zaraz wołam, zaraz śpiewam:
Nie kupicie sokołów?
Hej sokołów, sokołów!

Niechaj Bóg każdego broni
Tułać się dniem i w nocy!
Przecię z mandoliną w dłoni,
Biegnę, nucąc z całej mocy:
Nie kupicie sokołów?
Hej sokołów, sokołów!

Co tylko skończył, aż tu go ktoś z za muru zapytał: "Kto tam!"

"Sokolarz," odpowiedział Oton.

"Lecz czemuż tak późno w nocy?" zapytano się znowu.

"Ach!" odrzekł Oton, "jest to tego jedyną przyczyną ta burzliwa słota i ten tam bór ogromny."

"A czego potrzeba?" zapytał się znowu tenże głos.

"Mam sokoły na sprzedaż," odpowiedział Oton. "Jakże wójcie? nie chcielibyście się potrudzić na zamek i powiedzieć o tem rycerzowi, panu swemu? Mam ja wielkie, śliczne, młode sokoły.

"To jakiś tęgi chłopak," dało się słyszeć za murem i zaraz się brama otworzyła.

"Dalej proszę wejść! Będziesz od nas chętnie przyjętym rzekł grubym głosem chuderlawy burgrabia (wójt zamkowy) z kasztanowatą brodą. Miał on w jednej ręce latarkę, w drugiej zaś halabardę, a przy boku wisiał mu wielki pęk kluczy. — "Była to przykra kąpiel! nie prawdaż chłopcze?" zawołał ze śmiechem. "Deszcz cię nie licho wytrzepał. Drzysz też jak liść bluszczowy. I psa by się tam nie wygnało. Dalibóg! tą razą wolałbym być sokołem niż sokolarzem. Teraz zaś ciesz się, żeś tu przyszedł. W mojej izbie jest ciepło; bierz i wysusz w niej swoją kurtę i swój kolet; ja tymczasem pójdę na zamek i opowiem cię rycerzowi. Zdaje mi się, że nie źle spieniężysz. Jutro właśnie pojedzie rycerz na polowanie. Nasz sokół już nie wiele wart; nie może wzbijać się tak dzielnie w powietrze, jak dawniej; jest też już stary, tak, że się zdaje, jakby miał ołów w swych skrzydłach."

To mówiąc, wprowadził Otona do izby, poczem udał się na zamek, aby o tem rycerza uwiadomić. W izbie zaś otoczyło młodego sokolarza z pół mendla dzieci, spoglądając to tu tam na klatkę.

"Dzieci!" zawołała ich matka, a żona wójta, "ażebyście mi się nie ważyli do klatki?"

"Czemu nie?" odezwała się jedna dziewczynka.

"Czemu? a to temu," odpowiedział czteroletni jej braciszek, "że te ptaki gryzą."

"Matko!" szczebiotało najmłodsze dziewczę, "czyż ptaki te gryzą? wszak one zębów nie mają."

"Co?" odezwał się najstarszy chłopiec; "czyś to już zapomniała? Wszak sokół rycerza, którego to nasz ojciec żywić musi, ugryzł naszemu wielkiemu psu, co to na łańcuchu leży, lewe ucho, gdy mu pies z pyska chciał wydrzeć kawał mięsa."

"Oto jest cytra," rzekło inne "jak się na niej zagra, tak też muszą ptaszki śpiewać."

Tu się rozśmiali wszyscy na głos. Oton zaś mało zważał na śmiech dzieci; był on szczęśliwy, iż się pod dachem znajdował, i że sobie mógł przy kominku swoją odzież

[illegible] lubo mu wśród tych murów zupełnie miło nie było.

Po niejakim czasie powrócił wójt oznajmiając, iż rycerz sobie życzy zobaczyć sokoły. Oton więc wziął klatkę na plecy i wyszedł za wójtem, idącym naprzód z latarnią. Gdy szli przez dziedziniec a potem po krętych schodach, udzielał mu wójt ciągle przestrogi, jak sobie miał postępować w pokoju. "Rycerz bowiem" rzekł przewodnik Otona, "jest dziwny człowiek. Nie mówi on z ludźmi, jak to inni zwykle. Jego słowa są przykre, bardzo przykre; lecz nie musisz się tego lękać, jest to już jego zwyczajem. Nie na próżno się też zowie Dytrych Felzenhejm."

Te słowa przeszyły duszę Otona, gdyby piorun. Znajduję się więc grodzie mego nieprzyjaciela, pomyślał sobie. A gdy mnie pozna będę i ja w jego mocy. Ten, którego wkrótce ujrzę, jest sprawcą wszystkich moich cierpień, które rodzinie Waldbergen dokuczyły. On ci to nam wydarł owej okropnej nocy wszystkie zabytki, całą naszą własność. On ci to spalił nasz zamek. On ci to uwiózł mego ojca a może go i zabił. Lecz cóż? gdyby ojciec jeszcze był przy życiu? gdyby był przy życiu i to tu w tym zamku? tu może w jakiej skalistej ciemnicy? Ha! muszę się tego dowiedzieć, prędzej z tego zamku nie wyjdę. O Boże dobrotliwy, oświećże mi mój rozum i rządź moją mową, gdy z drapieżnym rycerzem Felzenhejmem mówić rozpocznę.

Tu westchnął mimowolnie, co wójt za głos sokoła utrzymywał i dla tego na to wcale nie zważał. Gdy już u góry w ganku stanęli, a drzwi się — na dany znak — otworzyły, zadrżał Oton cokolwiek. Lecz wymusiwszy na sobie spokojność, wstąpił w progi bez wszelkiej bojaźni.

Dytrych leżał na otomanie, rozciągniętej na posadzce a przykrytej pięknością pstrego kobierca. Wielki dzban z winem stojał przy nim. W ręku miał dwie kostki z kości słoniowej, któremi jak się zdawało z nudów potrząsał. Matylda siedziała z Agnieszką przy lampie, trudniąc się jakąś robotką. Trzymając Oton ręką barecik z zielonem piórem, został stojący przy drzwiach. Dytrych Felzenhejm rzucił na niego dzikiem spojrzeniem, które się przy blasku ognia na kominku straszniejszem, jak zwykle wydawało. Przytem rozrzechotał się i krzyknął:

"Tylko bliżej, sokolarzu! Czyż ty i twoje sokoły ognia się boicie? Jeżeli tak mogę wam być pomocny. Mam ja pod ziemią sklepy, które są ciemniejsze, niż tam owa burzliwa noc na dworze. Tam ja to was wtrącę i będę strażował, aż zaślepniecie."

"Co? jak? panie rycerzu!" odezwał się śmiało młody sokolarz z uśmiechem. "Dałbym szyję, iż w całym tym zamku nie macie więzienia dla poczciwych ludzi, do których ja się także liczę. Wszakby to było przeciwko rycerskiej uczciwości. "A jak mi się zdaje, tak niesprawiedliwy uczynek nie dałby wam ani chwili spać spokojnie."

"Milcz, łotrze!" krzyknął Dytrych i zmarszczył swe czoło. Przypomniało mu się bowiem owo więzienie skaliste, w którym niewinny hrabia Waldbergen jęczał. Matylda zaś i Agnieszka spojrzały po sobie i zaczęły płakać.

Widząc Oton gniew rycerza, skłonił się aż do ziemi i rzekł: "O nie gniewajcie się przecię tak bardzo, panie rycerzu. Wszak wam dobrze wiadomo, my sokolarze, którzy to wolno po świecie chodzimy, mamy też i w mowie więcej wolności od innych. Lecz teraz pozwólcie mi postawić moją klatkę na ziemię. Możecie sobie moje ptaki oglądać podług woli i sobie z nich wybrać, ile wam się tylko podoba. Jutro na łowach możecie ich doświadczyć; za to nie żądam ani szeląga. Lecz daję moją szyję, że dobre będą. Bo też, drogi panie, co prawda to prawda wszystkoć to wielkie, śliczne, młode sokoły."

Te słowa złagodziły zagniewanego rycerza. Wziął się też zaraz do klatki. Raz podobał mu się ten sokół, to znowu inny, a wójt zamkowy musiał się zawsze dać słyszeć z swem zdaniem.

Tymczasem przybliżył się Oton do stolika, przy którym Matylda i Agnieszka pracowały. Skłoniwszy się pokornie, rzekł: "Za pozwoleniem, szlachetne panie! Tymczasem, gdy się pan rycerz ptakami zajmuje, zaśpiewam ja piękną piosneczkę."

Na dany znak głową, tak zaczął:

Przystąpiła do syna matunia raz
I rzekła żałośnie ze łzami:
"Już to dawny, mój synu, już dawny czas,
Jak ojca twego nie mamy.
Ach! jęczy we więzach, bo porwał go wróg,
Lecz gdzież jest? Ja nie wiem. Wie tylko Bóg.
A może nie żyje; ach! może już w grobie,
O, biada by była mnie biednej i tobie.

Panie bladły i rumieniły się na odmianę i poczęły płakać. Widząc to sokolarz, wlepił w nie przenikliwy swój wzrok, uderzył jeszcze żałośniej w strony mandoliny i śpiewał jeszcze rzewniej, jak pierwej, co następuje:

W tem opuszcza swą matkę młodzieniec chwat,
Gdy żyje, to znaleźć go muszę."
Tak powiedział i śpieszy w daleki świat
I gotów znieść wszelką katuszę,
I szuka rodzica wśród zamków i chat,
Lecz próżno, nie trafił dotychczas na ślad.
Ach biada, ach biada! jak wrócić bez wieści?
Więc szukać go musi wśród serca boleści.

"Ej, do kata! Cóż to znaczy, chłopcze?" krzyknął rycerz, tak, że sokolarzowi ledwie co mandolina z ręki nie wypadła. Poznać to ptaszka po piórach. Twarz twoja mleczna i cytra w ręku świadczy dosyć głośno, iż szczęścia u kobiet szukasz; wreszcie jak ci się podoba; ale teraz pójdź tutaj. Widzisz jak się tam w górze trzepocze?" Wymknął się bowiem jeden sokół i wzbijał się, trzepocąc skrzydłami, do góry. Oton przyskoczył i zawołał sokoła po imieniu. Wtem ptak natychmiast wrócił do klatki. "Widzę," bąknął rycerz, "ty utrzymujesz taką karność między ptakami, jak ja między swymi ludźmi." A rozśmiawszy się, usiadł znowu na otomanie.

"Tak, panie rycerzu," rzekł Oton, "ten sokół może jutro także polowanie odprawić."

"Dobrze!" krzyknął Dytrych i wypił resztę wina z wielkiego dzbana. "Ja sam puszczę go pod obłoki. Lecz gdy się jutro tak posłusznym nie okaże, wrzucę cię wraz z twojemi sokołami w klatkę, która jest w skale wykuta."

Odtąd nie przemówił rycerz ani słowa, lecz rozwalając się po otomanie, zaczął ziewać, jak gdyby mu się spać chciało. Wtem przystąpiwszy Agnieszka do sokolarza, rzekła łagodnie: "Usiądź sobie przy kominku. Wszakżeś zmókł i jesteś strudzony. Sokoły tak dobrze jak kupione. Teraz się pokrzep winem; tu masz jeszcze chleb z masłem, tymczasem przygotujemy dla ciebie co lepszego."

"Jedz, jedz!" rzekła przybiegając Matylda; "tę noc zostaniesz w tym zamku. W jednym z naszych pokojów będziesz miał wygodne łóżko. Na niem możesz sobie wypocząć zupełnie."

Łagodne te słowa słyszał Dytrych; a że mu to nieznośnem było, gdy jego żona lub córka do ludzi po ludzku przemawiała, zerwał się, i latając po pokoju, krzyczał: "Ja tu nie potrzebuję żadnego przychodnia. Precz, za drzwi z nim! Ja chcę spać! Cóż was ten chłopak obchodzi? Precz ztąd! a nie dajcie mi się tu widzieć przed świtem! Fe! Lada żebrakiem opiekujecie się. Lecz poczekajcie, ja was już tego oduczę." Weź ze sobą tego sokolarza. Umieść go w stodole. Na pęku słomy może sobie dzielnie wypocząć. Jednę derę możesz mu także dać do przykrycia. Jeżeli mu się jeść chce, zgotuj mu wody i osól ją; sokołom zaś daj mięsa, aby mi jutro dobrze polowały."

Po tych rozkazach rzucił się Dytrych znowu na otomanę. Matylda i Agnieszka milczały, wzdychając. Wójt trząsał głową tak przecie, że tego rycerz nie dostrzegł. Sokolarz zaś był wesół, jak pierwej. "Widzę," rzekł, uśmiechając się "iż pan rycerz nie w dobrym humorze; lecz gdy jutro sokoła zobaczy, jak do góry strzałem wleci, będzie on weselszym." A zwróciwszy się do Matyldy i Agnieszki, rzekł: "Dzięki wam składam, szlachetne Panie, dzięki serdeczne za waszą dobrą chęć. Śpijcie więc spokojnie a niech wam się śni o jak nalsłodszych rzeczach. Ja z mojej strony będę spał tak spokojnie na pęku słomy, jak w najmiększem łóżku. Nie raz ci ja już w górach spałem, na twardej skale, a przecię jestem zdrow równie jak sokoły.

Rzekłszy to Oton, ukłonił się paniom głęboko. Do rycerza zaś odezwał się jeszcze: "Dobranoc, Panie rycerzu! Co? już śpicie? O bądźcie jutro weselszym, jak dzisiaj. A gdy o świcie na łowy wyjeżdżać będziecie, ujrzycie mnie stojącego już przy bramie, aby wam podać sokoła."

(Ciąg dalszy nastąpi).

DESZCZ I POGODA.

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE

p. LEONA GOZLAN,

TŁOMACZENIE Z FRANCUZKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Ah, gdybym mogła ten czas przespać (*słychać tentent konia.*) Jakiś tentent, czyżby to już oni? (*Anzelm wchodzi, oddaje list i wychodzi.*) Od Roberwatów (*czyta.*) Droga pani nasza, pomimo najszerszej chęci przybywać do ciebie, obawiamy się puszczać w drogę, któżby się nie bał takiego szkaradnego czasu? A że znów dzisiaj, może będzie zmiana. Jak się tylko promyk słońca pokaże, będzie nas miała. Twoje wszyscy Roberwat." — (*mówi.*) Więc i oni nie dotrzymali słowa. Potrzeba im słońca, aby mnie odwiedzić. Ale nie, słońce się nie pokaże, świecić nie będzie i oni nie przyjadą. Piękna mi przyjaźń! Jeszcze dwa miesiące tej samotności! — Otóż nie, nie, jeszcze raz nie. Prędzej śmierć! (*dzwoni.*)

SCENA V.

Baronowa — Anzelm.

Baronowa.

Każ w tej chwili zaprzęgać, powracam do miasta.

Anzelm.

Do miasta?

Baronowa.

No, tak, czego chcesz?

Anzelm.

Pani Baronowa zapewne zapomina, że jej pałac się restauruje, w całym domu fabryka, która dopiero na pierwszego grudnia będzie gotową.

Baronowa.

Dobrze, odejdź!

SCENA VI.

Baronowa *(sama.)*

Więc muszę tu zostać? Ha, więc zostanę. Lecz co tu robić? Będę czytała (*bierze książkę.*) Jakiś romans. "Le Lac" (*rzuca książkę.*) A niechże Bóg broni! (*drugą.*) "Jezioro" — Nie chcę dość już mam wody (*idzie do fortepianu.*) Będę grała (*próbuje.*) Ah, jakiż ton fałszywy przez tę wilgoć, zupełnie się rozstroił, grać niepodobna. Jakąż znajdę rozrywkę. Będę jadła, kiedy nie jestem głodną, czyż na taki czas można mieć apetyt? (*ze złością.*) Będę tańczyła, lecz sama nie mogę, przecież Anzelmowi nie powiem walcujmy! (*przechadza się i myśli.*) Będę rysować — odrysuję kościół i wieżę gotycką, którą ztąd widać (*bierze album i idzie do okna.*) Ani wieży, ani kościoła nie widać, wszystko chmurami zakryte, żywej duszy na drodze. Nie, nie, ktoś jest, schronił się pod drzewo, gdyby wiedział, jak się nudzę, gdyby się chciał schronić w moim domu. Ah, rozmawiać z jaką żywą duszą, (*dzwoni gwałtownie.*)

SCENA VII.

Baronowa Anzelm.

Baronowa *(prowadząc go do okna.)*

Widzisz tam człowieka, ot, tam pod drzewem?

Anzelm.

Widzę!

Baronowa.

Biegnij do niego i proś go tutaj.

Anzelm.

Pani baronowa zapewne poznała, że to jaki znajomy?

Baronowa.

Idź mówię ci! (*Anzelm wychodzi.*) Lecz to może lekkomyślność zapraszać nieznajomego, to więcej, niż lekkomyślność, to szaleństwo (*dzwoni*).

SCENA VIII.

Baronowa (*gwałtownie dzwoni, Wiktosia wchodzi.*)

Baronowa.

Zwróć zaraz Anzelma, którego posłałam.

Wiktosia.

On już daleko.

Baronowa.

Koniecznie.

Wiktosia.

Ale to niepodobna, Anzelm nie chcąc bardzo zmoknąć, biegł jak szalony, więc nie dopędzę go, (*do okna.*) Oj, już powraca.

Baronowa.

Może sam? (*do okna*). Z Nieznajomym. Cóżem zrobiła? Ha, stało się!

SCENA IX.

Baronowa Nieznajomy (*otrzepując kapelusz.*)

Baronowa (*największym pomieszaniu*).

Mój Boże... mój panie... Kazałam pana prosić z powodu... z powodu bo... bo przeszłej nocy wielka była burza, wiatr świstał okropnie... i wytłukł mi wszystkie okna!... muszę ja kazać wprawić.

Nieznajomy.

Pani mnie wzięłaś za szklarza?

Baronowa (*j. w.*)

Tak jest za szklarza... pani pojmie w takiej odległości... lecz widzę że się pomyliłam.

Nieznajomy.

Cokolwiek... jestem żołnierzem.

Baronowa.

Jesteś pan?

Nieznajomy.

Żołnierzem, żałuję że nie szklarzem.

Baronowa.

Gniewam się na siebie, iż taką mogłam popełnić omyłkę... nie wiem jak pana przeprosić.

Nieznajomy.

Nie masz mnie pani za co przepraszać, a jeżeli pani zechce mi użyczyć parasola, bym się mógł dostać do dworca kolei, ja to panią przeproszę za kłopot jakiego stałem się powodem i serdecznie podziękuję.

Baronowa.

Jakto... chce odejść (*głośno*) nie chcesz Pan czekać aż minie ta ulewa.

Nieznajomy.

Gdy się przebyło 6 miesięcy w okopach Sebastopolskich, to taki deszczyk nic nie znaczy. Proszę więc o parasol.

Baronowa (*na stronie.*)

Miałby zaraz odejść. (*głośno.*) Pan byłeś przy oblężeniu Sebastopola? To śliczna wyprawa.

Nieznajomy.

Bardzo przykra.

Baronowa.

Pan służyłeś w piechocie? Śliczna broń.

Nieznajomy.

Nie, pani.

Baronowa.

W kawaleryi? Jeszcze piękniejsza.

Nieznajomy.

W korpusie inżynierów.

Baronowa.

To najpiękniejsza broń.

(Ciąg dalszy nastąpi.)